

MARCIN A. GUZEK



CHWAŁA IMPERIUM

SZARE PŁASZCZE



*Rodowi, Ulmowi, Vladimirowi,
Lutogniewowi, Krzesłu i Cass*

PROLOG:

47 ODDZIAŁ ZWIADU IMPERIALNEGO

Dzwony w Wielkiej Katedrze Światła zagrały głośno, oznajmiając początek nowej ery. Wielki, Najjaśniejszy Arcykapłan Deusa z nabożną czcią włożył koronę na głowę młodego Imperatora, Aureliusza IV Draconisa. Tysiące ludzi zebranych w świątyni wiwatowało, setki tysięcy cieszyły się na placach Smoczego Leża. Wino lało się strumieniami, muzyka grała, a niewiasty, w różnym stopniu roznegliżowania, tańczyły na ulicach.

Godwin dor Gilbert kroczył przez miasto, starając się ignorować to, co rozgrywało się dookoła. Odmawiał wina i delikatnie, lecz stanowczo odpychał kobiety, rzucające się w jego ramiona. Nie miał ochoty ani tym bardziej czasu na podobne zabawy. Co więcej, zdawał sobie sprawę z prostej prawdy: Rzeczywiście zaczęła się właśnie nowa era, ale zdecydowanie nie będzie to era pokoju i radości.

Energicznym krokiem dotarł do niewielkiego, podniszczonego budynku, gdzieś na skraju metropolii. W jednej z tych dzielnic stolicy, które nigdy nie zdołały podnieść się w pełni po Pladze. Przez chwilę przyglądał się konstrukcji, oceniając, jak wielkie jest ryzyko zawalenia, a potem wyjął z sakiewki kawałek węgla i zaznaczył duży znak „X” obok wejścia. Przekroczył próg drzwi utrzymujących się tylko na jednym zawiasie, przepłoszył kilka bezpańskich psów, które najwyraźniej uczyniły to miejsce swoim domem i powoli wszedł na piętro. Odnalazł pokój, w którym znajdowała się największa ilość zdatnego do użytku umeblowania i usiadł na starym, rozchwierutanim stołku. Czekał.

Pierwszy pojawił się Iovis. Bezgłośnie wślizgnął się do budynku, prze-

kroczył bezszelestnie korytarze i w milczeniu wszedł do pomieszczenia. Nie chodziło nawet o to, że Iovis starał się skradać. Dla młodego, drobnego mężczyzny ostrożna cisza wydawała się po prostu czymś naturalnym.

Następna przybyła Logan. Wysoka, wysportowana, jak zawsze krótko ostrzyżona i ubrana po męsku, Nie była szczególnie piękna ani wyjątkowo brzydka – raczej doskonale przeciętna, i to tym niezwykłym rodzajem przeciętności, który połączony z fryzurą i strojem sprawiał, że łatwo było uznać ją za mężczyznę. Mężczyznę, można nadmienić, o całkowicie przeciętnej urodzie.

Ostatni pojawił się Defrim, zwany Klifem. Już od wejścia oznajmił swe przybycie donośnym krzykiem, który w jego mniemaniu uchodzić miał za pieśń.

– O, widzę, że wszyscy już zebrani – stwierdził, wchodząc do pokoju z małą beczulką wina pod pachą. – Rycerz, Cichy. Ale was długo nie widziałem! O, i widzę, że nasza Dama jak zawsze piękna.

– Jesteś pijany – skomentowała Logan.

– A ty i tak mnie kochasz. – Defrim obdarzył ją swoim najbardziej ułudzielskim spojrzeniem, budzącym u postronnych skojarzenie z zezowatą kaczką. – Więc, może małe co nieco z okazji nowej ery?

– Klif! – Głos Godwina był twardy niczym hartowana stal.

Defrim pociągnął swoim olbrzymim, ukształtowanym na kształt obucha nosem i usiadł na najbliższym krześle. Obarczone ciężarem potężnego mężczyzny drewno wydało odgłos, świadczący o iście nadludzkim wysiłku.

– Mamy zadanie – oznajmił Godwin. – Z samej góry. Wyruszamy jutro o świcie, więc sugeruję się dzisiaj przespać.

Defrim jęknął z rozczarowaniem.

– Gdzie? – spytała Logan, próbując ignorować zachowanie towarzysza.

– Lavertania. Pojedziemy Traktem Wschodnim, osobno. Zbiórka za trzy dni w Białym Młynie, to niewielki zajazd przy granicy z Terylem, nad Powolną Rzeką.

– Idziemy w strefę wojny? – zapytał Iovis cichym głosem.

Godwin pokiwał głową.

– Według naszych informacji wojna domowa zbliża się do końca. Po pięciu latach żadna strona nie ma już sił, by dłużej to ciągnąć, szykują się do ostatniej bitwy. Naszym zadaniem jest upewnić się, że ktokolwiek wygra, będzie gotowy przywrócić księstwo pod opiekuńcze skrzydła Imperium. Najlepiej bez konieczności interwencji zbrojnej, na którą Imperium i tak nie stać.

– I niby jak mamy tego dokonać? – spytał Defrim.

Godwin wzruszył ramionami.

– Odprawa będzie na miejscu. Tak czy inaczej, to misja specjalna. Udajemy zwykłych najemników, żadnych związków z Imperium. W razie czego zostajemy na łodzi.

– Czyli normadla czterdziestego siódmego – zauważył Klif. – Jeśli to wszystko, to ja się będę zbierał. Do świtu jeszcze daleko, a kobiety na ulicach z każdą godziną coraz bardziej pijane...

Krzesło odmówiło wreszcie posłuszeństwa, wydało ostatni, agonálny trzask i rozpadło się na kawałki, zrzucając swego ciemiężcę na podłogę.

– Poczekaj tu do świtu, to może jakaś będzie nawet tak pijana, żeby nie uciec na sam twój widok – powiedziała Logan, nie próbując nawet hamować śmiechu.

*

Longinus był prawdziwym wzorcem imperialnego oficera. Wysoki, dobrze zbudowany, świetnie wyglądał w mundurze. Twarz miał na tyle pospolitą, by budzić sympatię żołnierzy, ale głęboki, donośny baryton nie pozostawiał żadnej możliwości sprzeciwu. To był ten rodzaj głosu, który w zaskakujący sposób, niezależnie od wymawianych faktycznie słów, dawał znać, że używająca go osoba nie będzie powtarzać i wyrwie ci nogi z dupy, jeśli jej nie posłuchasz.

– Wojna dobiega końca – skonstatował Longinus, spoglądając na czwórkę zebranych przy stole ludzi. – W ciągu najbliższych kilku dni Edrianowie przypuszczą ostatni atak na stolicę. Książę Wolmer rzuci przeciw nim wszystko, co mu zostało. Ktokolwiek wygra tę bitwę, wygra też całą wojnę.

– Tyle już zdążyliśmy się zorientować – stwierdził Defrim, popijając z kufła.

– Krótko po rozpoczęciu wojny – Longinus całkowicie zignorował podkomendnego – książę Wolmer postanowił odesłać młodszego syna, Jakoba, w bezpieczne miejsce. W tajemnicy powierzył go opiece jednego z wiernych sobie arystokratów, o którym do niedawna wiedzieliśmy tylko, że jego ziemie leżą głęboko na terytorium lojalistów i na tyle blisko granicy z Terylem, że chłopca łatwo można ewakuować, jeśli zajdzie potrzeba. – Oficer zrobił pauzę i napił się wody. W głównej sali zajazdu Biały Młyn panowała cisza. Już kilka dni temu imperialni wynajęli cały budynek i zapłacili właścicielowi, by wyjechali na urlop. W całym gospodarstwie nie było nikogo poza żołnierzami Imperium. – Niedawno jeden z naszych agentów zdobył informacje o miejscu pobytu chłopca. Ukrywają go niedaleko miasta Eben. Dokładną lokację agent jest gotowy przekazać tylko w cztery oczy, po otrzy-

maniu obiecanej zapłaty.

– Brzmi to zaskakująco, jak jakaś pułapka – zauważył Godwin. – Czy wiemy...

– To sprawdzony człowiek, wielokrotnie z nami współpracował i za każdym razem jego informacje się sprawdzały. Waszym zadaniem jest dotrzeć do Eben, spotkać się z tym agentem... – Longinus zerknął w notatki – Ła-będziem, w miejscowym burdelu.

Na twarzy Defrima zagościł wyjątkowo obleśny uśmiech.

– Po tym, jak agent przekaze wam informacje, macie przejąć dzieciaka i dostarczyć go tutaj, najlepiej w dobrym zdrowiu. Jeśli jego ojciec wygra, Jakob będzie kartą przetargową.

– Brzmi dosyć prosto – stwierdził Defrim z uśmiechem.

– Jakiego spodziewamy się oporu? – spytał Godwin.

– Dzieciak na pewno będzie miał ochronę. Co więcej, mamy doniesienia o aktywności sił Edrianów w tej okolicy. Głównie zagony sięjące terror na tyłach wroga, ale biorąc pod uwagę zbliżającą się ostateczną bitwę, sytuacja może zmienić się z dnia na dzień.

– Więc mamy wjechać w nieznaną teren z nieokreśloną aktywnością wroga, skontaktować się z nieznanym nam agentem, następnie zdobyć cel, przetrzymywany w bliżej niesprecyzowanym miejscu i chroniony przez bliżej niezidentyfikowane siły. A później wrócić przez wspomniany nieznaną teren z nieokreśloną działalnością wroga i możliwym pościgiem.

– Rycerz to zawsze potrafi przedstawić sytuację tak, że aż nie mogę się doczekać misji – zauważył z rozbawieniem Defrim. – A ja już myślałem, że najtrudniejsze będzie niańczenie dzieciaka.

– Ja go na pewno niańczyć nie będę – oznajmiła Logan.

– Ty to nawet swoich dzieci byś pewnie nie niańczyła...

– Cisza – przerwał im Godwin. – Coś jeszcze?

– Istnieje możliwość, że ludzie Edrianów również szukają dzieciaka – odpowiedział Longinus.

– Może po drodze porwiemy jeszcze jakiegoś dzieciaka od nich – zaproponował Defrim. – Wtedy będziemy kryci na wszystkich frontach.

– Nasz nowy Imperator na pewno byłby wdzięczny – stwierdziła Logan.

– Może nawet zapamiętałby nasze imiona.

– Szczerzę wątpię – odezwał się cicho Iovis – by Imperator kiedykolwiek usłyszał nasze imiona.

*

Lavertania była dużym księstwem, leżącym na wschodnim krańcu Terytoriów Centralnych, kolebki dawnego Imperium. Obecna sytuacja polityczna czyniła to państwo niejako granicą cywilizowanego świata. Dalej na wschodzie były już tylko opustoszałe Rubieże i hordy barbarzyńców, od lat zagrażających rozbitemu Imperium. Pięć lat temu szlachta ze wschodniej części kraju rozpoczęła wojnę domową przeciwko rządzącym od stu lat księżtom z rodu Wolmerów. Imperator próbował negocjacjami doprowadzić do pokoju u swego wasala, efekty były jednak nijakie, a okazjonalne zawieszenia broni nigdy nie trwały długo. Co gorsza, inne państwa w regionie, mimo oficjalnej i nakazanej przez dwór w Smoczym Leżu neutralności, potajemnie wspierały poszczególne strony konfliktu.

Ziemie leżące na północnym zachodzie kraju, przez które właśnie przejeżdżał 47 Oddział Zwiadu, w tym konflikcie pozostawały raczej na uboczu. Mimo to ślady toczącej się wojny były tu wyraźne. Godwin i jego drużyna mijali ruiny gospodarstw i opustoszałe wioski. Drugiego dnia podróży natrafili na pierwszych uchodźców, którzy przerażeni i głodni opowiadali straszne historie o Dzikich Psach barona Bludgara, krążących po okolicy i traktujących napotkanych ludzi mieczem i ogniem. Później zwiadowcy spotykali uciekinierów już regularnie i wszyscy mówili to samo, niezależnie skąd uciekali, co sugerowało, że Dzikie Psy grasowały w kilku stadach. Tej nocy niebo na wschodzie rozświetlała luna pożarów. Trzeciego dnia pojawiły się spalone wioski i wisielcy. Trafili też na nagie, obrabowane ciała zmasakrowanych uchodźców. Od tego momentu jechali w ciszy, uważając. Mimo to nie udało im się uniknąć kłopotów.

*

Na pierwszy rzut oka wioska wyglądała normalnie. Małe drewniane chaty, zagrody ze zwierzętami, rozciągające się za osadą pola uprawne. Kiedy zbliżyli się do zabudowań, psy zaczęły szczekać i biegać za ich końmi. Nie widzieli mieszkańców, ale ludzie w tej okolicy mieli w zwyczaju chować się na widok podróżnych. Dopiero kiedy wjechali pomiędzy zabudowania, stało się oczywiste, że osada jest opuszczona. Nie było widać śladów walki, żadnych zniszczeń. Ubrania suszyły się na wietrze, zwierzęta spokojnie siedziały w swoich zagrodach, przed jedną z chat leżało kilka prymitywnych zabawek.

– Czterech po lewej – stwierdził nagle Cichy. – Następnym pięciu po prawej, między chatami. Może więc. Mają kusze.

– Spieprzamy? – spytała Logan, ukradkiem poprawiając ułożenie miecza przy siodle.

– Za późno – odpowiedział Godwin. – Spróbujemy się z tego wyłgać. Klif, ty się nie odzywaj.

– Ej, jestem świetny w łganiu – odpowiedział Defrim.

– Tak, regularnie łżesz kobietom, że masz coś w spodniach. – Mimo uśmiechu na twarzy w głosie Logan dało się wyczuć napięcie.

Kiedy dotarli na główny plac, ich oczom ukazało się trzech zbrojnych, stojących przy niewielkiej studni. Tarcze wojaków zdobił czerwony byk Edrianów. Na kolczugi zarzucone mieli tuniki z wizerunkiem czerwonego ogara, symbolem Dzikich Psów.

– Powitać – powiedział spokojnie wysoki, pomarszczony mężczyzna z twarzą ozdobioną absurdalnie dużymi wąsiskami. Jego ludzie trzymali w rękach naładowane kusze, ale nie celowali w przybyszów. Jeszcze.

– Powitać – odpowiedział Godwin.

– A z kim to mamy do czynienia? – spytał żołnierz.

– Ze zwykłymi podróżnymi. – Godwin starał się brzmieć jak najspokojniej.

– Nieźle uzbrojeni jak na zwykłych podróżnych.

– Niebezpieczna okolica.

– Ano, niebezpieczna. Kim jesteście i czego tu szukacie?

– Jesteśmy najemnikami – oświadczył Godwin po chwili, uzbrojeni w kusze żołnierze po lewej i prawej przestali już się ukrywać. – Ochranialiśmy kupców zmierzających do granicy, teraz jedziemy do Ebenu poszukać podobnej roboty.

– Najemnicy, co?

– Kłamię jak nic – stwierdził przysadzisty żołnierz. – Mówię ci Szeфу, ja to od razu wyczuwam łgarstwo.

– Morda, Bliznodup – uciszył go wąsaty. Przez chwilę przyglądał się przybyszom. – Wyglądacie mi na poważnych ludzi, prawdziwych wojaków. Do ochrony kupców to zwykle idą gówniani awanturnicy z mlekiem pod nosem.

– Nie kiedy w okolicy toczy się wojna – zauważył Defrim. – Wtedy nawet kupcy gotowi są dorzucić trochę więcej grosza za kogoś porządnego.

– To Rogacze, jak nic – upierał się Bliznodup, odnosząc się do ozdobionego rogiem herbu Wolmerów.

– Nie stoimy po żadnej stronie – odpowiedział Godwin. – Byki, Rogacze, nam wszystko jedno. My tylko wykonujemy swoją robotę. Poza tym, tylko spójrz na nas, nikt z nas nawet nie pochodzi z Lavertanii.

– Sami mówiliście, żeście najemnicy – zauważył trzeci z żołnierzy.

– Morda Młody!

– Nie pracujemy dla Wolmerów. – Godwin zwrócił się prosto do dowódcy Psów. – Obydwa doskonale wiemy, że po pięciu latach nikogo tu już nie stać na porządnym najemniku. A my porządnymi najemnikami jesteśmy, tego możesz być pewny. Jeśli dojdzie tu do walki, pewnie nas pozabijacie, ale powiedzmy to sobie jasno: nie jesteśmy bandą bezbronnym chłopów, a to oznacza, że do walki dojdzie. I trupy padną po obydwu stronach.

Przez chwilę na placu panowała cisza. Godwinowi wydawało się, że słyszy dobiegający skądś stłumiony płacz dziecka.

– Po co ta wrogość? – spytał wreszcie przywódce zbrojnych. – My tylko wykonujemy rozkazy. Nie chcieliśmy urazić. I nie chciałbym złego wrażenia zostawić. Może zanim ruszycie dalej, napijemy się na zgodę gorzałki?

Godwin rozejrzał się dookoła. W sumie dwunastu żołnierzy, wszyscy z herbem Dzikich Psów na piersi. W większości nie wyglądali na zaprawionych w boju weteranów, raczej na zebranych na szybko i rzuconych na front chłopów. Niemniej mieli gotowe do strzału kusze, a przy tyłu bełtach lecących w powietrzu, których musiał wreszcie trafić.

– Czemu nie – odpowiedział i spokojnie zsiadł z konia. Reszta drużyny podążyła jego śladem.

– Dziadek, Pisarczyk, przynieście nalewkę. A przepraszam, nie przedstawiliśmy się w ogóle. Mnie nazywają SzeFu. – Skinął głową wąsaty. – Ci dwaj to Bliznodup i Młody. Reszta naszej kompanii to Dzikie, Błazen, Czarny, Wódka, Nors, Glutek, Dziadek, Pisarczyk i Dupcia.

– Ten ostatni to baba – zauważył z wyraźnym zaskoczeniem Defrim.

– Po pięciu latach tej zabawy to my już przestali wybrzydzać – przyznał SzeFu.

Żadnych imion, zauważył Godwin. Lepiej nie przedstawiać się imieniem, kiedy człowiek zajmuje się tym, co oni.

– Mnie nazywają Rycerz – oznajmił Godwin. – A to Klif, Dama i Cichy.

– Miło poznać, chodźcie, usiądźmy. – SzeFu poprowadził ich do pobliskiej łąwy.

Bliznodup i Młody poszli za nim, odkładając kusze.

Reszta pozostała na stanowiskach. Nie umknęło to uwadze Godwina, podobnie jak zablokowane od zewnątrz drzwi pobliskiej świątyni i zaskakująca na tak słoneczny dzień ilość zapalonych pochodni, które mieli ze sobą żołnierze.

– Więc skąd przybywacie? – zadał pytanie SzeFu, kiedy już się rozsiedli.

– Ja pochodzę z północy, ze Spornych Ziem – zaczął Godwin. – Dama

z tych samych okolic.

– Z małego zapadłego księstwa – stwierdziła Logan. – Raczej nigdy o nim nie słyszałeś.

– Sporne Ziemie, co? Słyszałem o tamtejszych rycerzach. Naprawdę jesteś jednym z nich, czy tylko tak cię nazywają?

– Pasowanym uroczyście, ku chwale Deusa i mojego suwerena.

– To nie powinieneś mieszkać w zamku i ratować jakieś, nie wiem, cne dziewice? – spytał Młody z wyraźnym zainteresowaniem.

– Zabrakło nam zamków, a o dziewice też coraz trudniej, zwłaszcza te cne – odpowiedział Godwin z niezmiennie stoickim spokojem. – Więc musiałem zająć się czymś innym.

– A baba, twoja? – zapytał Bliznodup.

– A baba niczyja – ogłosiła Logan. – I do tego sprawna z nożem.

– Że nie wspomnę o ostrych zębach – dodał Defrim.

– Ej, ja tylko pytam, a tu od razu taka wrogość. Niemilo być takim butnym, jak dookoła ludzie z kuszami...

– Bliznodup, zamknij się. Nie chcemy, żeby nasi goście poczuli się nie-mile widziani – przerwał mu Sze fu.

– Tak właściwie, to czemu nazywają cię Bliznodup? – spytał Defrim.

– Tego, to długa historia jest i...

– Nasz towarzysz swego czasu miał pecha usiąść na pewnej ilości rozlanej wódki – wyjaśnił Sze fu.

– To nie brzmi tak źle – zauważył Godwin.

– Bo nie jest. Chyba że kilka minut później człowiek zostanie trafiony w tyłek płonąca strzałą.

– Przez miesiąc nie mogłem normalnie usiąść – poskarżył się Bliznodup. – Gdzie ta cholerna nalewka?!

Jak na zawołanie, pomiędzy budynków wyłonił się Dziadek i Pisarczyk, niosąc dzbanek napitku. Zgodnie ze swoimi przydomkami, pierwszy był stary, siwy i pomarszczony, a drugi chuderlawy i upstrzony plamami atramentu. Postawili na stole naczynie i kilka glinianych kubków, po czym wrócili na swoje miejsca pomiędzy chatami. Sze fu podniósł się i zaczął rozlewać alkohol. Przytłumiony płacz dziecka stał się trochę wyraźniejszy. Godwin nie miał wątpliwości, że odgłos dochodził z zabarykadowanej świątyni.

– Więc, Sporne Ziemie – Sze fu wrócił do tematu. – A reszta?

– Mnie przywiało z Wolnych Miast Zachodu, z Wysokiego Portu – zaczął Defrim. – Służyłem w tamtejszej armii, nawet nieźle mi się wiodło, do czasu, aż się posprzeczałem z jednym szlachcicem. Głupi gbur miał się

za lepszego ode mnie, no to mu przypieprzyłem. Niestety czaszeczek jego była niezbyt wytrzymała i się skurwielowi umarło. No to musiałem spieprzać z miasta i tak trafiłem do...

– Najemników – przerwał mu Godwin ostro.

Z kierunku świątyni dotarł przytłumiony krzyk, przypominający wezwanie pomocy. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Nikt się nie odezwał.

– Ja urodziłem się w Smoczym Leżu – powiedział Iovis, spoglądając do wódcy Psów prosto w oczy. – Odsłużyłem swoje w Legionie.

– I spodobała ci się wojaczka? – spytał Szezu.

– Spodobało mi się zabijanie.

Bliznodup i Młody położyli ręce na leżących obok kuszach. W ciszy, która zapadła, wyraźnie dało się słyszeć błaganie o pomoc, płacz i modlitwy.

– Na nas chyba już czas – orzekł Godwin, wstając powoli.

– Dopiero co polałem – odpowiedział Szezu, bez szczególnych emocji. Przez chwilę dwaj mężczyźni toczyli pojedynek spojrzeń. Wreszcie Rycerz usiadł.

– Myślałem, że Psami dowodzi baron Bludgar – zagaił, podnosząc kubek.

– Bo dowodzi – stwierdził Szezu. – Ogółem Psów. Działamy w kilku oddziałach.

– Ponoć baron nie jest zbyt przyjemną postacią.

– Jest żądnym krwi, sadystycznym skurwysynem. Ale nadal moim dowódcą.

– A dowódców się nie wybiera.

– Otóż to. Obowiązek to obowiązek. Czyni życie żołnierza o wiele łatwiejszym.

– Naprawdę? – Godwin spojrzał na świątynię.

– Rozkaz to rozkaz – uciął ostro Szezu. – Usiadłem z wami, żeby zobaczyć coście za jedni. Wypili my nalewki i teraz widzę, z kim mam do czynienia. Więc zostało tylko jedno pytanie. Będziecie nam przeszkadzać?

– Nie mam w zwyczaju nadstawiać karku za nieznanym. Jak mówiłem, jesteśmy najemnikami, walczymy, jak jest co zyskać. Tu można tylko stracić.

– Nie da się ukryć. – Wzrok żołnierza mimowolnie też skierował się na świątynię.

Godwin dopił resztkę nalewki i wstał, reszta drużyny podążyła za nim.

– Barona Bludgara tu nie ma – zaobserwował Rycerz.

– Ja jestem – odpowiedział Szezu.

– Jesteś.

– Nie znasz Bludgara – wtrącił Bliznodup. – Gdyby dowiedział się,

że Szezu sprzeciwił się rozkazom, obdarłby go ze skóry i nadział na pal, a nas razem z nim.

– Nie mój problem. – Godwin wsiałł na konia.

– Nie powiedziałem, że możecie odjechać – zauważył Szezu.

– Głupio byłoby nas zabić, po tym jak zmarnowałeś na nas tak dobrą nalewkę.

– Rzeczywiście, głupio.

Przez chwilę spoglądali na siebie.

– Powodzenia, Szezu – powiedział wreszcie Godwin i ruszył przed siebie.

– Powodzenia, Rycerzu.

Zdołali oddalić się od wioski na sporą odległość, zanim Godwin odezwał się. Spokój w jego głosie został zastąpiony gniewem.

– Prosto w cholerną pułapkę, świetny z nas oddział zwiadowczy!

– Myślałem, że to tylko taka nazwa – stwierdził Defrim. – Bo „ludzie od brudnej roboty” było za długie.

– Prosto w cholerną pułapkę! – powtórzył Rycerz. – Jakbyśmy trafili na kogoś innego, niż ten cały Szezu, to już byłoby po nas.

– Przynajmniej samogon mieli niezły – wtrąciła Logan.

– Czy wy mnie w ogóle...

– Dym – zauważył Iovis, spoglądając w kierunku wioski.

– Nie słyhać krzyków – zauważył Klif.

– Jesteśmy za daleko – powiedziała cicho Dama.

– Jak ktoś się pali żywcem, to się drze tak, że z daleka słyhać – upierał się Defrim.

– Nieważne – przerwał Godwin. – Zmarnowaliśmy już dosyć czasu, mamy misję do wykonania. W drogę.

*

Był już wieczór, kiedy wreszcie dotarli do celu. Miasto Eben składało się z trzech części, niczym warstw wielkiej, cuchnącej cebuli. Pierwszą stanowił obóz uchodźców. Setki namiotów i tysiące ludzi. Żadnej widocznej organizacji, zbyt mało miejsca, jedzenia i latryn, zbyt dużo ludzi, zwierząt, chorób i śmierci. Kilku kapłanów krążyło po koczowisku z wozem, zbierając porzucone tu i tam ciała. Reszta obecnych zdawała się już nawet nie zwracać na nie uwagi.

W miejscu, gdzie kończyły się namioty, zaczynał się absurdalny labirynt wąskich uliczek i drewnianych chat, budowanych bez żadnego widocznego planu, dookoła murów miejskich. Tu też roilo się od uchodźców, ku wyraż-

nej niechęci stałych mieszkańców.

Dopiero po przekroczeniu murów miejskich Godwin i jego towarzysze wjechali do faktycznego Eбену – niewielkiego i całkiem przyjemnego miasteczka, zbudowanego na modłę imperialną, niczym obóz wojskowy z szachownicą prostych, szerokich ulic. Równo ustawione, piętrowe, kamienne domy stały jak szeregi żołnierzy, każdy sprawiający nieodparte wrażenie, że zajmuje dokładnie właściwą pozycję i nie mógłby istnieć w żadnym innym miejscu. Nawet w samym Imperium trudno było o podobny widok. Ten niezakłócony niczym porządek stanowił tak duży kontrast z panującym po drugiej stronie muru chaosem, że aż prosił się, by jakiś filozof użył go jako dowodu, że wszechświat dąży do równowagi.

Miejscowy burdel, z jakichś całkowicie niepojętych powodów nazwany Rybnym Targiem, znajdował się na skraju miasta. Budynek zajmował aż dwie standardowe działki na końcu ulicy VII, co mimo niezbyt luksusowego wyglądu, czyniło go niemal willą. Obdarte ściany, „ozdobione” dosyć prymitywnymi i całkowicie nieprzyzwoitymi rysunkami, raczej nie zachęcały do wizyty. Wrażenie to zniknęło jednak zaraz po przestąpieniu progu przybytku.

Główną salę wypełniał biały dym, czerwone światło i senna muzyka. Olbrzymi dywan zarzucony był dziesiątkami różnokolorowych poduszek. Siedzieli na nich liczni klienci i jeszcze liczniejsze, roznegliżowane niewiasty. Ściany zdobiły arraszy przedstawiające sceny z różnych legend. Z dosyć zrozumiałego powodu, bohaterowie większości scen byli nadzy i w pozycjach, które niezbyt zgadzały się z faktyczną treścią mitów.

– No, to mi się podobą – stwierdził Defrim. – Możemy tu zostać na dłużej?

– Twoje pieniądze, twoja sprawa, jak je wydasz – odpowiedział Godwin, sprawiając wrażenie dosyć spiętego. – Ale jutro ruszamy o świcie. Z tobą lub bez ciebie. A teraz znajdziemy tego ptaka.

Rycerz podszedł do kontuaru w kącie pomieszczenia, po drodze wyrażnie unikał rozglądania się dookoła. W przeciwieństwie do Defrima, który szczerzył się głupkowato do każdej mijanej kobiety.

– Szukamy Łabędzia – powiedział Godwin.

Stojąca za kontuarem kobieta przyglądała im się przez chwilę. Była wysoka i całkiem atrakcyjna, mimo że upływ lat wyraźnie odcisnął na niej piętno. Miała na sobie długą niebieską suknię z dosyć głębokim dekoltem, co czyniło ją jedną z najprzyzwoiciej ubranych niewiast na sali. Wreszcie przywołała skinieniem jednego ze służących i szepnęła mu coś do ucha. Chłopiec od razu pobiegł na zaplecze.

– Łabędź niedługo was przyjmie, musi się tylko przygotować – oznajmiła, uśmiechając się. – Może coś wam podać na czas oczekiwania?

– Och, zdecydowanie widzę sporo rzeczy, które mi się podobają – stwierdził z uśmiechem Defrim.

– Gwarantujemy najlepszą obsługę w całej prowincji.

– I zapewne najwyższą cenę – skomentował Godwin.

– Dobra usługa zasługuje na dobrą zapłatę. Poza tym, nie jest łatwo wy-cenić szczęście.

– Szczęście? To to tu sprzedajecie?

– Wybacz pani mojemu towarzyszowi – wtrącił się Defrim. – Jest po-nury z natury, częsta przypadłość u jego rodaków. Zapewne wynik braku podobnych przybytków w jego ojczyźnie.

– Mają w mojej ojczyźnie wiele podobnych przypadków – zapewnił Ry-cerz. – Zapewne tyle samo, co tutaj. Po prostu nauczono mnie szacunku do kobiet...

– Dobra, jak tam wolisz – przerwał mu Defrim. – Ale ja i Cichy na pewno spróbujemy tego szczęścia. Co, Cichy?

– Wychowałem się w podobnym miejscu – oświadczył Iovis. – Burdele zawsze kojarzą mi się z matką i siostrami.

– To ja już wolę, jak się nie odzywasz.

– A gdzie faceci? – spytała Logan, rozglądając się po pomieszczeniu. – Gdzie coś dla mnie?

– Obawiam się, że nie mamy męskich pracowników – wyjaśniła kobieta za kontuarem. – Zbyt mały rynek.

– Nie można kupić czegoś, czego nie sprzedają – zauważyła Dama z wy-raźnym rozczarowaniem.

– No, dajcie spokój – powiedział Klif. – Już nawet do burdelu was nie można zabrać, żebyście nie narobili człowiekowi wstydu.

Służący wrócił z zaplecza i szepnął coś do ucha kobiecie przy kontuarze.

– Łabędź czeka – stwierdziła. – Wejdźcie tymi drzwiami i idźcie prosto korytarzem. Ostatnie drzwi po lewej.

Rycerz i jego towarzysze ruszyli naprzód. Wolnym krokiem wkroczyli na długi, ciemny korytarz. Wchodząc do budynku, musieli zostawić broń. Brak ciężaru miecza u pasa sprawiał, że Godwin czuł się nieswojo.

Pokój był niewielki i prosto umeblowany. Był tu stół, kilka krzeseł, a ciemność rozjaśniała jedna świeczka. Żadnych arrasów czy innych ozdób. Kiedy tylko weszli, otworzyły się drzwi po drugiej stronie i do pomieszcze-nia wkroczył Łabędź. Średniego wzrostu postać, ubrana w strój męski, choć

stanowczo zbyt duży. Na głowie nosiła długą blond perukę opadającą na pociągłą twarz, skrytą pod widoczną warstwą makijażu.

– Witam – odezwał się Łabędź delikatnym, bezpłciowym głosem. – Godwin dor Gilbert, Logan de Irving, Defrim i Iovis. Nie myślę się?

– Nie – odpowiedziała Dama.

– Świetnie. Usiądźcie. Mam dla was informacje, ale obawiam się, że już jesteście spóźnieni.

– To znaczy? – spytał Godwin, siadając.

– Och, zacznijmy od zapłaty. Zdajecie sobie sprawę, że nie robię tego dobroczytnie.

– Cichy! – nakazał Rycerz.

Iovis wyjął mieszek zawieszony na szyi i rzucił na stół. Szpieg podniósł go ukrytymi w rękawiczkach dłońmi i przyjrzał się zawartości.

– Świetnie – stwierdził z uśmiechem. – A teraz do rzeczy. Jakob Wolmer jest ukrywany w rezydencji miejscowego szlachcica, nazwiskiem Lomis. Znajduje się ona jakieś trzy mile na wschód od Ebenu. Tu macie wskazówki, jak dotrzeć na miejsce. – Łabędź wyjął z rękawa kartkę papieru. – Mam również dokładny szkic posiadłości z zaznaczoną ilością i rozmieszczeniem strażników... Niemniej żadna z tych rzeczy wam się już nie przyda.

– Ponieważ? – spytał Rycerz, odruchowo sięgając do pasa.

– Ponieważ chłopca już tam nie ma. Kilka godzin temu eskorta zabrała go w kierunku granicy z Terylem.

– Będą musieli przejechać w pobliżu Ebenu – zauważył Iovis.

– Przejechali, jakąś godzinę temu.

Godwin i pozostali zerwali się na nogi.

– Którędy jadą?

– Traktem Tkaczy. Na noc zatrzymają się w opuszczonym młynie, nie daleko wioski Stare Erden. Później ich trasa będzie zależna od tego, co zastaną przed sobą.

– Ilu?

– Dziesięciu ludzi obstawy.

Oddział ruszył do drzwi.

– Jest coś jeszcze – zatrzymał ich Łabędź. – Ludzie Edrianów też go ścigają. I są blisko. Może bliżej niż wy.

– Nikt nie mówił, że będzie łatwo – odparł Godwin, wychodząc z pomieszczenia.

*

Pierwszego trupa znaleźli dwie mile za miastem. Leżał na środku traktu z bełtem wystającym z pleców. Dopiero wtedy przestali pędzić galopem.

– Rogacz – stwierdził Defrim. – Myślicie, że jest szansa, że to jakiś przy-padkowy wojak, który akurat tędy przejeżdżał?

Nikt nie odpowiedział. Ruszyli. Nie zajechali jednak daleko. Trop z kolejnych ciał prowadził ich prosto na pobożowisko. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlały kilkanaście trupów ludzi i koni, rozrzuconych po polu pszenicy.

– Kurwa – podsumował Klif.

– W sumie dziesięciu martwych Rogaczy i dwanaście Byków – ocenił Iovis, chodząc między ciałami.

– I ani śladu chłopaka – dodała Logan.

– Kilku odjechało na północ – zauważył Cichy, przyglądając się śladom.

– Trzech... nie, czterech jeźdźców.

– Możesz ich tropić? – spytał Godwin.

– Nie w ciemnościach.

– No to jesteśmy w dupie – podsumował Defrim. – Po takiej jatce raczej się nie zatrzymają. O świcie już będą za daleko.

– Cichy, musimy ich znaleźć. – Głos Rycerza brzmiał niemal przeprasza-jąco.

– Wiem – odparł Iovis.

Podszedł do swojego konia i wyjął z juków małą sakiewkę. Następnie odszedł kilka metrów i usiadł na ziemi. Wyjął z pojemnika odrobinę proszku i wciągnął do nosa. Później zrobił głęboki wdech i zaczął nucić swoją mantrę.

– Nie znoszę, kiedy to robi – stwierdził Defnim. – Zawsze przechodzą mnie ciarki. To nie jest, kurwa, naturalne, że człowiek potrafi zrobić coś takiego.

– Raz spotkałam dziewczynę, która potrafiła rzucać nożami, mając zamknięte oczy. Twierdziła, że duchy wskazują jej, gdzie jest cel – opowiedziała Logan. – Tacy ludzie się zdarzają.

– Tak, i to nie jest normalne.

– Cicho – upomniał ich Godwin.

Starął się zachować spokój, choć sam też czuł dreszcze. Ptaki zbierające się do uczty na ciałach umarłych, teraz nagle odleciały. Zapadła niepokojąca cisza, a cienie w ostatnich promieniach słońca wyginały się w dziwacznym sposób. Ale nie to było powodem zaniepokojenia Godwina. Był nim sam Iovis. Jego głos zmieniał się, jakby dobiegał z dużej odległości, a skóra stała się niezdrowo blada. Nie było to widoczne w zapadającej ciemności,

ale Rycerz był świadkiem rytuału wystarczająco często, by wiedzieć. Biała i zimna. Skóra trupa.

– Tak właściwie, o co chodzi z tym całym Łabędziem? – spytał Defrim, by odwrócić własną uwagę od tego, co się działo. – To chłop czy baba?

– Kto go tam wie – odparła Logan, wdzięczna za nowy temat do rozmowy. – Może to i to.

– Jak to, to i to? – Nie zrozumiał. – Przecie musi być jedno lub drugie.

– Może być obojnakiem – stwierdził Godwin.

– Oboj... czym? Jaja sobie ze mnie robicie, prawda? Jak może być... Nie, musi być jednym lub...

– Nieważne – przerwał mu Rycerz. – Ważne, że jak nas złapią, to nie będziemy nawet w stanie powiedzieć, czy mają ścigać mężczyznę czy kobietę. Że nie wspomnę o innych szczegółach, poza tym, że nosił perukę i rądził sobie z makijażem.

– Cwane – przyznał Defrim.

– Może też powinienes spróbować Klif – zażartowała Logan. – Jakąś kieckę ci znajdziemy, trochę makijażu i będziesz panna jak malowana. Może nawet jakiś kawaler się skusi.

– Wystarczy, że ty próbujesz udawać chłopą – odgryzł się Defrim.

– *Już!* – odezwał się Iovis dziwnie zniekształconym głosem. – *Jest ich pięciu, razem z chłopcem. Jadą na północ.*

– Będziesz w stanie za nimi podążyć? – spytał Godwin.

– *Tak.* – Cichy odwrócił się i spojrzał na towarzyszy całkowicie białymi oczami. – *Jeden z nich jest ciężko ranny. Czuję, jak wycieka z niego życie. Jak jego dusza wyrывa się z ciała.* – Na twarzy Iovisa pojawił się wstrętny uśmiech. – *Jest mój.*

*

Noc była spokojna, cicha. Strażnik siedział na pieńku przed samotną chatą. Przez szpary w okiennicach sączyło się światło. Po godzinie obserwacji Godwin i jego ludzie nadal mogli się jedynie domyślać, jak wygląda sytuacja w środku.

– Ten ranny skonał? – upewnił się Defrim.

Iovis pokiwał głową. Po jego bladej twarzy spływały wielkie krople potu. Trans tak bardzo go zmęczył, że ledwo mógł się utrzymać na nogach.

– Czyli trzech na trzech... – stwierdził Klif z uśmiechem. – To powinno być łatwe.

– Najważniejsze jest bezpieczeństwo chłopaka – podkreślił Rycerz. – Ja

i Dama zakradniemy się od tyłu, ty zostań tutaj i w razie czego zdejmij strażnika z kuszy. Cichy, ty po prostu odpoczywaj.

– Nie będę się sprzeczał. – Głos Iovisa był ledwo słyszalny.

Godwin i Logan ruszyli wzdłuż linii drzew. Minęli płytki rów, obezszli skuleni niewielkie wzniesienie i w całkowitej ciszy zbliżyli się do chaty.

Strażnik nawet nie zauważył, że coś nadchodzi. Poczuł za to nieprzyjemną pełność w pęcherzu. Przeszedł więc kilka kroków, by w spokoju odlać się na boczną ścianę budynku. Nie było to najlepsze wyczucie czasu.

Godwin miał już podejść bliżej i zajrzeć do środka domu, kiedy tuż przed nim pojawił się żołnierz z wyjątkowo zaskoczonym wyrazem twarzy. Przez moment stali tak, patrząc się na siebie, a później wszystko wydarzyło się nagle.

– Wróg, wr...! – zdążył wrzasnąć strażnik, zanim miecz Logan przebił mu gardło. W chacie wybuchło zamieszanie. Ktoś otworzył drzwi. Ktoś inny krzyknął. Godwin, nie zwlekając, rozpędził się i wskoczył do środka, roztrzaskując okiennice. Przetoczył się po podłodze pośród odłamków drewna i zerwał na nogi z mieczem w ręce. Jeden z żołnierzy leżał przed otwartymi drzwiami, z hełtem wystającym z czoła. Drugi wcisnął się w kąt pomieszczenia, przyciskając ostrze sztyletu do szyi chłopca. Godwin zaklął pod nosem.

– Wygląda na to, że mamy patową sytuację – stwierdził, spoglądając mężczyźnie prosto w oczy.

– Na to wygląda. – W głosie żołnierza brzmiało zdenerwowanie. – Zabiję go – zapewnił. – Moje rozkazy mówią, że dzieciak prędzej ma być martwy niż wolny.

– Wierzę ci. Ale ty musisz zrozumieć, że jeśli ten dzieciak zginie, ty podążysz za nim. I zrobisz to, wrzeszcząc i błagając o śmierć.

Żołnierz głośno przełknął ślinę. Ręce zaczynały mu się trząść. Podłoga za Godwinem zaskrzypiała, kiedy do pomieszczenia wkroczył Defrim, ścisnąc w ręce topór. Ten widok sprawił, że mężczyzna w kącie wstrzymał oddech. A później wrzasnął z bólu i dzieciak wyrwał mu się z rąk. Rycerz dopiero po chwili zauważył, że z brzucha żołnierza wystaje nóż.

– Na co czekacie? – spytał książę Jakob Wolmer, spoglądając na swoich wyzwolicieli z autorytetem typowym dla jedenastoletnich członków rodu panującego. – Zabijcie go.

– Proszę... – wymamrotał żołnierz, osuwając się na ziemię.

Klif bez słowa podszedł bliżej i wbił topór w głowę mężczyzny. W pomieszczeniu zapanowała cisza.

– Skończone – stwierdził Defrim. – A teraz bierzmy dzieciaka i ruszajmy.

– Nie jesteście ludźmi mojego ojca – zauważył wystraszony chłopiec. – Ludzie mojego ojca zawsze nazywają mnie księciem lub paniczem. Nie jesteście też ludźmi Edrianów.

– Spozstrzegawczy gówniarz – zauważył Klif.

– Jesteśmy tu, by zabrać cię w bezpieczne miejsce – powiedział Godwin, ucisząc gestem swojego towarzysza.

– Pracujecie dla kogoś z zewnątrz.

– Książę, jesteśmy tu, by zabrać cię w miejsce, gdzie będziesz bezpieczny. Po zakończeniu wojny wrócisz do swojej rodziny i wszyscy na tym zyskają. A teraz chodźmy. Przed nami jeszcze długa droga.

*

Karczma była niemal pusta. Kilku wystraszonych wędrowców siedziało przy jednym ze stolików, karczmarz i jego syn nie oddalali się od kontuaru, za którym, czego Godwin był pewny, trzymali naładowane kusze. W powietrzu czuło się nieprzyjemne napięcie i wyczekiwanie. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca wyraźnie było widać słupy czarnego ognia z pobliskich wiosek. Dzikie Psy grasowały niedaleko.

– To kiepski pomysł, żeby się tu zatrzymywać – powtórzyła Logan. – To miejsce jest zbyt widoczne.

– Słyszałaś karczmarza – odpowiedział Godwin. – Psy przejeżdżały wtedy już trzy razy i nie próbowały sprawiać problemów. Widać palenie zajazdów ich nie interesuje.

– A gdzie indziej mieliby pić? – Uśmiechnął się Defrim.

– Pracujecie dla Imperium – stwierdził nagle Jakob.

– Skąd ten pomysł, szczyłu? – spytał Klif.

– Bo ty jesteś z zachodu, z Wolnych Miast. Cichy jest z południa, sądząc po akcencie z samego centrum dawnego Imperium, może nawet ze Smoczego Leża. Z Damą i Rycerzem miałem większy problem, bo nie znam ich akcentu. Ale obydwójce mają podobny, a on jest rycerzem, więc wydaje mi się, że pochodzą z północy. Ze Spornych Ziem w centrum kontynentu. Taka zbieranina może pracować tylko dla Imperatora. Oczywiście, jest szansa, że jesteście zwykłymi najemnikami, ale wtedy nadzorowałby was ktoś od waszego pracodawcy. Ani Wolne Miasta, ani Sporne Ziemie nie mają żadnego interesu w tej wojnie. Jedyną osobą wśród was, która pochodzi z miejsca, którego władca interesowałby się moją osobą, jest Cichy. A jak już wspomniałem, jego akcent bezbłędnie zdradza poddanego Imperatora.

– Dzieciak jest cwany – zauważyła Logan. – Klif nigdy by tego nie wymyślił.

– Bo ja nie jestem od myślenia, tylko od bicia ludzi.

– Wszyscy jesteście poddani Imperatora – oznajmił Godwin, uważnie przyglądając się chłopcu. – Większość władców od Wolnych Miast, przez Sporne Ziemie, aż po Rubieże przyrzeka wierność Imperatorowi w swoich przysięgach koronacyjnych. I z całą pewnością robią to wszyscy książęta tu na południu, na Terytoriach Centralnych. Wliczając w to twojego ojca.

– I jego następcę? – Wbrew oczekiwaniom Godwina chłopak nie odwrócił wzroku.

– Nie mogę raczej mówić w imieniu tego, kto wygra tę wojnę, ale...

– Co jeśli wygrają Edrianowie?

– Słucham?

– Jeśli wygra mój ojciec, oddacie mnie w zamian za powtórzenie przysięgi wierności Imperatorowi, ale co stanie się ze mną, jeśli mój ojciec przegra?

Godwin otworzył usta, ale żadna odpowiedź nie przyszła mu do głowy. Rycerz nie był człowiekiem od polityki, jedynie żołnierzem wykonującym rozkazy mądrzejszych od siebie. Niemniej spojrzenie jasnych oczu chłopca uparcie wwiercało się w jego czaszkę, w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Jeźdźcy – stwierdził nagle Iovis, przerywając niezręczną ciszę.

Rycerz dopiero po chwili usłyszał odgłos kopyt, dużej ilości kopyt.

– Cichy, zabierz dzieciaka na górę i zostańcie tam, jeśli zrobi się nieciekawie, wymknij się z nim i spieprzaj do granicy – nakazał.

Iovis kiwnął głową i wyprowadził chłopca na piętro. Reszta poprawiała ułożenie broni. Napięcie w pomieszczeniu stało się jeszcze bardziej nieznośne. Karczmarz i jego syn podnieśli jakieś przedmioty ukryte za kontuarem, podróżni przy stole zbili się w bardziej szczelną grupę. Przez chwilę panowała całkowita, pełna wyczekiwania cisza, a później drzwi otworzyły się powoli i stanął w nich Bliznodup.

– A kogoż to moje oczy widzą! – krzyknął, podczas gdy jego towarzysze zaczęli wlewać się do pomieszczenia. – Panowie najemnicy. I co, znaleźliście jakąś robotę?

Godwin zaklął pod nosem, po czym przywołał na twarz swój najlepszy fałszywy uśmiech.

– Niestety, posucha. Większość kupców tak się boi spotkania z wami, że szczają w gacie na samą myśl o wystawieniu nosa za miejskie mury.

– Więc jednak coś robimy dobrze – stwierdził Szefu, wychodząc na środek sali. – Spokojnie karczmarzu, możesz odłożyć tę kuszę. Nie przyjechalіśmy po kłopoty. Potrzebujemy jedzenia, napitku i miejsca na noc. Nawet zapłacimy.

Karczmarz, niezbyt uspokojony tą deklaracją, odłożył jednak kuszę i wysłał swojego syna na zaplecze po jedzenie. Tymczasem Psy zajęły stolik obok Godwina i jego drużyny.

– A gdzie czwarty z was, ten niezbyt rozmowny, jak mu było?

– Cichy.

– Cichy – powtórzył SzeFu. – Właśnie, niezbyt sympatyczny typ.

Rycerz zastanawiał się nad odpowiedzią. W pierwszej chwili chciał skłamać, ale zdał sobie sprawę, że Psy widziały już cztery konie w stajni. Raczej nie dadzą się nabrać.

– Jest na gorze. Kiepsko się poczuł.

– Mam nadzieję, że nic poważnego?

– Zmęczenie.

– Gdzie to piwo! – krzyknął Bliznodup, siadając obok Defrima.

Nie minęło pół godziny, a obydwie kompanie piły już razem. W dalszym ciągu dało się wyczuć napięcie, które powoli niknęło z każdym wypitym kubkiem alkoholu i opowiedzianą wojenną anegdotką.

– ... a Dupcia wtedy do niego mówi, że ona to uwielbia obciążać wartownikom, bo oni zawsze stoją na baczność. – Salwa śmiechu przerwała opowieść, ale Bliznodup był jeszcze daleki od zakończenia. – A ten, jak się zaczerwienił, to myślałem, że zaraz mu policzki żywym ogniem buchną. I dzieciak zaczyna się jękać, że żonę ma i coś takiego. A tymczasem, tuż za jego plecami, Młody i Czarny zapieprzają w jedną i drugą stronę i wynoszą z tego magazynu worki z ziemniakami i serem. Sam ledwo powagę utrzymywałem, ale jak Dziadek, zalany w trzy dupy stamtąd wybiegł, potykając się i przytulając nowe buty, to aż się prawie zakrztusiłem od śmiechu. Na szczęście dzielny strażnik, tak był zajęty jękaniem się, że nawet nie zauważył. Ale słuchajcie, bo tu jest najlepsza część. Jak już wszyscy za rogiem zniknęli razem z ziemniakami, serem, piwem i butami dla Dziadka, to my z Dupcią też się zaczęliśmy zbierać. A tu dzieciak się nagle zdecydował, że jednak on bardzo chętnie. A Dupcia mu na to, jak Deusa kocham, Dupcia mu na to, że ona porządna dziwka jest i się w cudzołóstwo mieszać nie będzie.

Sala wybuchła śmiechem, podsycanym deklaracjami Dziadka, że on w ogóle nie pamięta całej opisywanej sytuacji. Defrim, który na tym etapie sprawiał wrażenie, że sam jest członkiem oddziału Psów, a z Bliznodupem to zna się od wczesnego dzieciństwa, skorzystał z okazji, by zacząć własną opowieść.

– To jeszcze nic, słuchajcie tego. Jak jeszcze byłem w Wysokim Porcie, w tamtejszej armii, to wysłali nas w pościg za bandą, co napadła lu-

dzi na trakcie. Mieli jakąś strasznie głupią nazwę, Bobry czy coś... Wydry chyba, tak Wydry. Banda przygłupów. W każdym razie szukaliśmy ich przez dwa tygodnie, włócząc się po traktach, aż wreszcie jednego dnia, sami na nas wpadli. Ale wyobraźcie sobie to, idzie trzydziestu chłopów, umundurowani, uzbrojeni po zęby, ze sztandarami i wszystkim. A tu podjeżdża do nas na środku traktu dziesięciu szczyli i nam mówią, że oni się nazywają Wydry i to jest napad.

– Ale łgasz – stwierdził Bliznodup.

– Łżesz – poprawił Szefu.

– Co?

– Nie ma takiego słowa jak łgasz, odmianą łgać jest łżesz – wyjaśnił Rycerz.

– Cholerni literaci – stwierdził po nosie Klif. – Widzę, że wasz dowódca równie czepialski co nasz. Ale wracając do opowieści. Prawdę mówię najświętszą, jak Deusa kocham. Podjechali i próbowali nas napaść. Nasz dowódca to wyglądał, jakby właśnie dostał prezent na urodziny. Tylko spojrzał i rozkazał, żebyśmy oddali panom zbójcom broń. To my im oddali. Salwę z kusz. Ścięło ich wszystkich za jednym zamachem. A jak żeśmy ich głowy przywieźli do miasta, to jeszcze nam dodatkową nagrodę do żołdu dodali. A mówię wam, jeszcze parę miesięcy żeśmy z nich śmiech mieli.

– Niektórzy ludzie są po prostu za głupi na przestępców – stwierdził z powagą Dziadek.

– Dlatego powinni zostać wojakami! – Zaśmiał się Czarny i wszyscy zgodnie wypili za tę myśl.

– Ale, panie Klif – spytał nieśmiało Pisarczyk. – Jak to jest w Wysokim Porcie?

– Znaczy, co jak jest?

– Bo ja to czytałem o Wolnych Miastach i wszyscy autorzy twierdzą, że to najwspanialsze metropolie na świecie. Z wspaniałymi bibliotekami i galeriami...

– Obawiam się, chłopcze – przerwał mu Godwin – że Klif to może opowiadać, co najwyżej o tamtejszych mordowniach i burdelach.

– Ej, ej, ej, już nie rób ze mnie takiego prymitywa. Tak się składa, że nie-raz byłem we wspaniałej bibliotece... na służbie wartowniczej. Ale jak chcesz posłuchać o burdelach, to rzeczywiście znam wszystkie w Wysokim Porcie.

– I do wszystkich ma zakaz wstępu – dodała Dama.

– Wypraszam sobie. Mam świetne stosunki z dziwkami. – Klif wyszczerzył się do Dupci. – A jak przy dziwkach jesteśmy, to skąd macie babę w oddziale? Ałł... – Defrim złapał się za żebra w miejscu, w które wbił się ło-

kieć Logan. – No co?

– Nic nie szkodzi – zapewniła Dupcia. – Już gorzej mnie nazywano.

– No ale co w armii robisz?

– Zabijam Rogaczy.

Reszta Psów powitała tą deklarację głośnym aplauzem.

– Cholera, na tym świecie to chyba już nie ma normalnych bab – stwierdził Defrim.

– A żebyś, bracie, wiedział. – Bliznodup go poparł.

– Jak ja byłem młody, to były prawdziwe kobiety – rozmarzył się Dziadek, odrobinę się opluwając.

– To chyba musiało być jeszcze przed Plagą – powiedział z rozbawieniem Czarny.

– Ta, raczej za czasów Pierwszego Imperatora! – Zaśmiała się Dupcia.

– A czemu wy macie babę w oddziale? – spytał Dziki, patrząc na siedzącą obok Logan.

– Kogo, Dame? – Defrim udał zdziwienie. – Przecież ona nie jest baba. Raczej dziki zwierz.

– To może trzeba ją poskromić – zaproponował Dziki, podczas gdy jego ręka powędrowała na nogę kobiety.

Logan uśmiechnęła się do niego przymilnie, a potem szybkim ruchem trafiła łokciem w gardło. Dziki poleciał do tyłu, wyraźnie się dusząc, Psy natychmiast zerwały się na nogi. W ułamku sekundy wszyscy przy stole chwycili za broń, podczas gdy ręce karczmarza chwyciły coś za kontuar.

Przez kilka uderzeń serca sytuacja wyglądała niebezpiecznie, a potem ciśnięcie wypełnił donośny śmiech Bliznodupa.

– Ale mu przyjechała. Oj, Dziki, ja zawsze mówiłem, że ty się wreszcie doigrasz. Ale widzieliście, jak poleciał?

Pozostali obecni też, jeden po drugim, zaczęli się śmiać. Po chwili sytuacja wróciła do normy. Dziki wstał z trudem, nadal trzymając się za gardło i usiadł, jak najdalej od Logan.

– Ale cię baba sponiewierała, aż żal patrzeć. – Nie ustępował Bliznodup.

– Odwal się, ty skurwysynu.

– Zdziwkisynu, nie będziesz mi tu, kurwa, mamusi obrażał.

Logan wstała i podeszła do kontuaru, Dupcia podążyła za nią.

– Nic ci nie jest? – spytała.

– Radziłam sobie z gorszymi.

– Widzę, ten cios był taki szybki, że sama nawet go nie zauważyłam.

– Kwestia wprawy. – Logan pociągnęła łyk z kufla. – Nie przeszkadza

ci jeżdżenie z tą bandą?

– Nie są tacy źli.

– Naprawdę?

– No cóż, niektórzy, jak Dzik, potrafią być trochę nieokrzesani, ale ogólnie lepsze to, niż być kurwą frontową. Teraz przynajmniej mam miecz, umiem się obronić. I sama sobie wybieram, z kim śpię.

– Chcesz powiedzieć, że ta zgraja nie próbuje się do ciebie dobierać?

– Czasami, ale jak przeholują, to Szefu robi z nimi porządek.

Logan przez chwilę przyglądała się mężczyznom śpiewającym jakąś starą, żołnierską piosenkę.

– Więc, sypiasz z Szefu? – spytała wreszcie.

– Jest dla mnie dobry. I mnie chroni. Ty nie sypiasz z tym swoim Rycerzem?

– Czasami – przyznała Dama. – Ale raczej pozwałam mu sypiać ze mną.

– A co za różnica?

– Ja jestem od niego wyżej urodzona – odpowiedziała Logan de Irving z uśmiechem, po czym ruszyła z powrotem do stolika.

Goście przy sąsiednim stole rozeszli się już do swoich pokoi, karczmarz i jego syn wydawali się coraz spokojniejsi z każdą garścią monet, która wpadała w ich ręce. Atmosfera w pomieszczeniu przeszła z głośnej hulanki w pełną zadumy nad życiem dyskusję.

– Masz ciekawych ludzi – stwierdził Godwin, przysłuchując się, jak Defrim uczy swoich nowych przyjaciół smutnej, żołnierskiej piosenki z Wolnych Miast.

– To dobrzy żołnierze – odpowiedział Szefu, dopijając kolejny kufel piwa.

– Zapewne.

– Ej, przyjrzałem się tobie i twoim ludziom. Nie powiesz mi, że wy nie macie trochę na sumieniu.

– Więcej niż trochę – przyznał Rycerz. – Ale lubię myśleć, że są pewne granice.

– Przywilej ludzi, którzy jeszcze nie musieli ich przekroczyć. – Szefu zamówił gestem kolejne piwo. – Słyszałem o tych waszych rycerzach ze Spornych Ziem. W historiach zawsze są szlachetni, bronią dziewic i dzieci, biorą udział w turniejach i wolą przegrać, niż zrobić coś niezgodnego ze swoim kodeksem... Naprawdę tacy są?

– Niektórzy... Nie wszyscy... Właściwie to nieliczni. Ale niektórzy tak, naprawdę tacy są.

– A reszta?

– Reszta jest jak wszędzie.

– Otóż to. Jak wszędzie. – Szefu pociągnął głębszy łyk z nowego kufła, patrząc na swoich żołnierzy. – Kiedy pierwszy raz poznałem Bliznodupa, był młodym, grubym dzieciakiem, który całe życie marzył o noszeniu munduru. Dosyć szybko wybiłem mu z głowy wszelkie głupie fantazje. Młody jest jego siostrzeńcem. Początkowo wcielili go do lekkiej piechoty. Na tym etapie wojny lekka piechota to ci straceńcy, którzy stoją na pierwszej linii z tym, co zdołali zrabować z trupów i robią w gacie, podczas gdy prawdziwe wojsko odrąbuje im głowy. Kosztowało nas sporo alkoholu, żeby załatwić mu przeniesienie do nas, od tamtej pory Bliznodup robi wszystko, co może, by utrzymać szczylą przy życiu. Dupcia była dziwką, szła z taborami za wojskiem. Raz Rogacze przebili się na tyły, więc złapała miecz i zaczęła się bronić. Jak się okazało, z nienajgorszym skutkiem. My byliśmy pierwszym oddziałem, który przybył na ratunek, od tamtej pory dziewczyna z nami łązi. Wreszcie przeszmygłowaliśmy jej mundur i wystaraliśmy się o zaszeregowanie. Raz nawet z Bliznodupem załatwiliśmy miejsce w porządnym burdelu, jednym z tych, gdzie dba się o dziewczyny i nie pozwala ich bić. Ale ona wolała zostać z nami, na wojaczce. Dziadek był starym wojakiem, kiedy ja byłem jeszcze żółtodziobem. Pisarczyk był skrybą w małym miasteczku. Baron Błudgar zdecydował, że w oddziale musi być ktoś, kto umie czytać i pisać, więc zabrał dzieciaka prawie sprzed ołtarza. To było rok temu, i przez cały ten rok, wypełniony zabijaniem, śmiercią i dziwkami, idiota ani razu nie zdradził swojej narzeczonej...

– Ten monolog do czegoś zmierza? – przerwał Godwin. – Czy po prostu opowiesz mi wzruszającą opowieść o każdym z nich?

– Oni nie są zbrodniarzami – stwierdził ostro Szefu. – Po prostu żołnierzami wykonującymi rozkazy. Może to gówniane rozkazy, ale, psia ich mać, rozkazy.

– Tak, już kiedyś słyszałem podobne słowa... Właściwie więcej niż raz.

– Pierdol się. Będziesz mi robił wyrzuty? Pan szlachetny rycerz prowadzący bandę najemnych zbirów. Naprawdę chcesz gadać o moralności w samym środku tego gówna? Tu nie ma moralności! I wiesz co? Mówiłem bzdury: to wojna i wszyscy tu jesteście zbrodniarzami.

Zamilkli. Salę wypełniły niezbyt melodyjne głosy żołnierzy, śpiewających o młodym chłopcu, który samotnie bronił wyrwy w murze, by wreszcie paść trupem na polu chwały.

– Ten cały baron Błudgar – zaczął po jakimś czasie Godwin. – Naprawdę jest taki zły?

– Gorszy. – Wydawało się, że na tym dowódca Psów zakończy temat, ale po chwili postanowił go rozwinąć. – Spotkałem w życiu sporo nieprzyjemnych typów, ale on... Wiesz, większość ludzi, jak każesz im zabijać bezbronnych, kobiety i dzieci, większość ludzi się zawaha. A po wszystkim pewnie uchła do nieprzytomności. Ale baron... On wygląda jak młodzieniec, któremu pierwszy raz dane było dotknąć cycuszków. Ledwo powstrzymuje uśmiech. I to wszystko, co robi, tylko się modli, pości, biczuje i morduje. Nie wiem, czy próbuje błagać Deusa o wybaczenie, czy po prostu jest szalony. Mam dreszcze za każdym razem, jak go widzę. – Szezu jednym łykiem dopił piwo. – To kiepski temat do rozmów, lepiej nie wywoływać wilka z lasu...

Jak na rozkaz jakiejś tajemnej i obdarzonej wyjątkowo wrednym poczuciem humoru siły, wilk dokładnie w tej chwili wyłonił się z lasu.

Drzwi karczmy otworzyły się, wpuszczając do środka zimny wiatr i wysokiego, przeraźliwie chudego mężczyznę, ubranego w prostą zbroję, okrytą krwistoczerwonym płaszczem. Jedyłą ozdobą jego posępną postać był wielki, złoty krzyż solarny, symbol Deusa. Jak na rozkaz wszelka radość ulotniła się z pomieszczenia, a Dzikie Psy, niezależnie od poziomu upojenia alkoholowego, znalazły się na nogach, stojąc na baczność.

– Co to ma znaczyć? – spytał cichy, nieprzyjemnie szorstki głos barona. – Pijaństwo? Pieśni?

– Nie spodziewaliśmy się barona – pośpieszył z wyjaśnieniem Szezu.

– Czy to wystarczający powód, by oddać się bezbożnym czynnościom? By pić na służbie?

– Nie jesteśmy obecnie na...

– Cisza! Moi ludzie zawsze są na służbie. A teraz spróbujcie chociaż udawać profesjonalistów. Rozstawić straż na noc. Karczmarzu, potrzebuję pokoju, odrobiny wody i chleba. Jutro ruszamy o świcie, lepiej, żebym nie czuł od was wtedy alkoholu.

Wyraźnie wystraszony karczmarz ruszył na schody, prowadząc nowego gościa do pokoju.

– To chyba tyle, jeśli chodzi o zabawę – podsumował Szezu. – Bliznodup, wystaw strażę, reszta na górę, za chwilę macie mi wszyscy spać.

Psy błyskawicznie zaczęły opuszczać pomieszczenie. Logan i Defrim podeszli do Godwina.

– Jak już tu jesteśmy, to załóżę się, że Cichy mógłby niepostrzeżenie poderżnąć temu szkieletowi gardło – stwierdził cicho Klif. – Myślę, że Psy nawet by się o to za bardzo nie pluły.

– Nie nasza wojna – zauważył Rycerz. – Nie nasza wojna, nie nasz problem.

Szare Płaszcze: Chwała Imperium
Copyright © Marcin A. Guzek
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover photo by Fernando Cortés/Adobe Stock &
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2021 r.

książka ISBN 978-83-7995-546-6

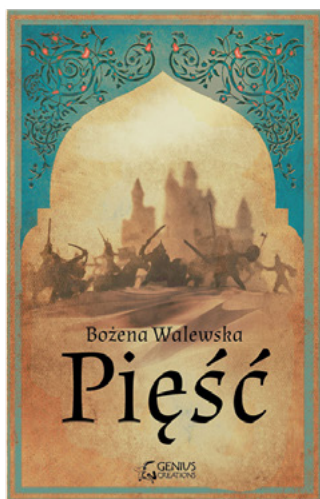
ebook ISBN 978-83-7995-547-3

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Małgorzata Maksymowicz
Korekta: Barbara Mikulska
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Projekt okładki: Agnieszka Zawadka
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



PIĘŚĆ BOŻENA WALEWSKA

Gdy nadchodzą dni pogardy, nienawiści i krzywdy, a zło roznosi się jak zaraza, niszczy i odziera z godności, wtedy budzi się w zwykłych ludziach moc, która pozwala im wstać, choć czują, że nie dadzą rady unieść głowy, pozwala walczyć, choć każdy zadany cios wydaje się ostatnim.

Kal, potomek szacha, choć wydaje się słaby i niedoświadczony, z dnia na dzień musi wziąć odpowiedzial-

ność za swój naród. Nair, spadkobierca korony Morovii, nie może już dłużej się ukrywać. Powinien przestać uciekać, a zamiast tego zebrać wokół siebie wszystkich zdolnych udźwignąć miecz, topór, a choćby i kij. Zwyczajny chłop z górskiej osady i samotna zielarka zaczynają odgrywać role, do których bynajmniej nie wydawali się stworzeni. Doświadczonego wojownika, którego życie zdążyło nauczyć, że nawet bohater cuchnie po śmierci i żadne poematy tego nie zmieniają, również czeka nowe wyzwanie.

Oni i wielu innych muszą porzucić swoje domy, zostawić rodziny i ukochanych, zatknąć noże za pas, zacisnąć zęby i ruszyć, kiedy nadejdzie czas. Ktoś, kto im powie, że nie dadzą rady, łże! Bo choć czują się słabi, choć paraliżujący strach nieraz zajrzy im w oczy, to przecież mają moc – ona ich podniesie. Muszą tylko ją poczuć. W sobie i w innych. W słońcu i w deszczu. W snach i na jawie. Nawet w stracie.

Czy Ty wyruszysz z nimi w magiczną podróż?!



TANIEC MARTIONETEK TOMASZ NIZIŃSKI

To nie jest kolejna książka o ratowaniu świata!

W tej rozgrywce stawka nie jest większa niż życie, a ludzkości nie grozi zagłada, lecz w najgorszym wypadku znaczne podwyższenie stóp procentowych.

Witaj w świecie, w którym demony są analfabetami, nekromanci nigdy nie trzeźwieją, a bohaterowie są zawsze gotowi ryzykować życiem. Cudzym.

Czarna Kompania, Podpalacze Mostów, Łowcy Kości i Siódmy Regiment z Erei to elita wśród najemnych kompanii.

Wypełniony barwnymi postaciami świat Siódmego Regimentu wciąga i nie wypuszcza do ostatniej strony. – **Marcin A. Guzek**, autor serii *Szare Płaszcz*e

„Taniec marionetek” to najlepsza powieść fantasy od wielu lat. – **Arkady Saulski**, autor cyklu *Kroniki Czerwonej Kompanii*

Tak dobre, że czytałem na głos! – **Wojciech Masiak**, @Czyta Wojtek Masiak

PIERWSZY TOM SERII WYBLAKŁE SZTANDARY

[Kup książkę](#)



POROZUMIENIE TRZECZ TOMASZ NIZIŃSKI

Nowemu Ereburgowi grozi całkowite zniszczenie i bynajmniej nie chodzi o oblegającą go od miesięcy armię rebeliantów czy o siejące zamęt na ulicach Dzieci Czarnego Wilka. Prosty lud, zwiedziony manifestami myślicieli z Nichtael, zamęcza władze swoimi ordynarnymi postulatami. Domaga się równego traktowania, godziwych warunków pracy, a nawet powszechnego dostępu do edukacji, zupełnie jakby

wysiadywanie w szkołach i pobieranie nauk stanowiło jakiś przywilej. Uświęcony tradycją porządek społeczny zaczyna chwiać się w posadach.

Te trudne czasy wymagają prawdziwego bohatera, ale z braku lepszych opcji mieszkańcy Caellarh będą musieli zadowolić się przeciętnie kompetentnym, patologicznie leniwym i doszczętnie skorumpowanym porucznikiem, który robi, co w jego mocy, by zwalić robotę na innych. Isevdriir Norgaard raz jeszcze zanurza się w kłębowisko spisków i intryg, walcząc o przetrwanie, zdradzając swoich mocodawców i zastanawiając się, po co do to wszystko robi.

“Taniec Marionetek” był znakomitą debiutem jednak “Porozumieniem Trzech” Niziński udowadnia, iż w zaledwie dwie książki stał się jednym z najważniejszych, polskich autorów fantasy ostatnich lat. Skomplikowane intrygi, mroczny klimat, świetnie zarysowane postacie oraz... humor! Autor z tych składników przygotował prawdziwą literacką ucztę, która zasmakuje każdemu czytelnikowi, wygłodniałemu doskonałej, polskiej fantasy. – Arkady Saulski, autor cyklu Kroniki Czerwonej Kompanii i powieści Serce lodu



WIECZNY BUNTOWNIK WITOLD DWORAKOWSKI

Władcy Atlantyd w swojej arogancji rzucili wyzwanie samym bogom. Odpowiedź zmiotła wyspę z powierzchni Ziemi i rozpędziła ocalałych na cztery strony świata. Dzieje potoczyły się inaczej niż miały, a może tak jak powinny... ktoś to wie?

Milenia później Zakon Czcicieli przystępuje do realizacji Planu Zbawienia, którego cel i znaczenie nie są jasne nawet dla jego członków. Heks, Szósty

Filar Zakonu, nie rozumie czemu służą zabójstwa, porwania i tajemnicze rytuały, w których uczestniczy. Buntuje się i ucieka do Urlandu, skrytej w sercu Alp krainy cieszącej się bogactwem i pokojem.

Młodzieniec nie podejrzewa, że wkracza na długą, krętą i szalenie niebezpieczną drogę. W pogoń ruszają dawni towarzysze. Urlandczy-cy starają się poznać tajemnice, które ich zdaniem posiada. A w cieniu czai się ktoś jeszcze...

Równowaga sił została zachwiana i wielu zginie. Już niedługo. Zbliża się bowiem finał Planu Zbawienia.



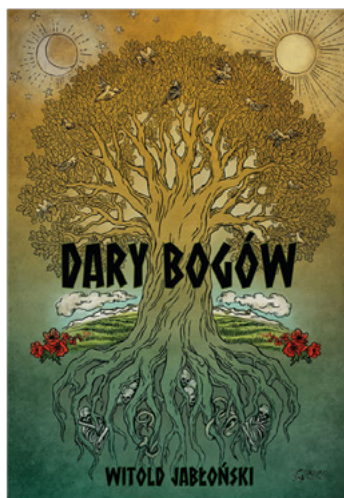
JEDYNE: ŚCIEŻKI KRWI PAWEŁ MAJKA

Jedyne – centrum Wieloświata jest areną nieustającej walki o wpływ pomiędzy frakcjami politycznymi, religiami, korporacjami, gangami i tajnymi stowarzyszeniami. Obiektem ataków rebeliantów, terrorystów, anarchistów i „zaszumionych”. Raz na jakiś czas, kiedy Jedyne próbuje uwolnić się spod władzy Króla, rywalizacja staje się jeszcze bardziej bezpardonowa, a liczba zamachów i przewrotów gwałtownie rośnie.

W trakcie oblavy na potężnego maga renegata do niewoli trafia jego syn – Myszon Oko. Chłopak co prawda posiada talent magiczny, ale wychowywany w zaściankowym świecie-widmie nie potrafi z niego korzystać. Mimo to na rozkaz Strażniczki zostaje wcielony do elitarnego oddziału Węzłów, tego samego, który go pochwycił. Wszyscy jego członkowie byli niebezpiecznymi buntownikami, których wolną wolę Król złamał, podporządkowując ich sobie i wyznaczając do trudnego zadania ochrony Jedynego.

Wkrótce Węzły zostają wysłane w pościg za Szalonym Widmiarzem, który podróżuje przez Wieloświat pradawnymi ścieżkami krwi. Schwywanie uciekiniera nie rozwiązuje jednak problemu bezpieczeństwa Jedynego, a wręcz przeciwnie, uświadamia Węzłom, w jak wielkim niebezpieczeństwem znalazł się wszechświat. Zaczyna się wyścig z czasem!

Paweł Majka, trzykrotny laureat Nagrody Literackiej im. Jerzego Żulawskiego, stworzył kolejny tętniący życiem świat, pełen niezwykłych i barwnych postaci. Nieskrępowana wyobraźnia, erudycja i bezkompromisowe podejście do rozmiaru kreowanych wizji gwarantują pasjonującą lekturę. Jeśli podobały Ci się „Kroniki Amberu” Rogera Zelaznego, „Ścieżki krwi” Cię zachwycą!



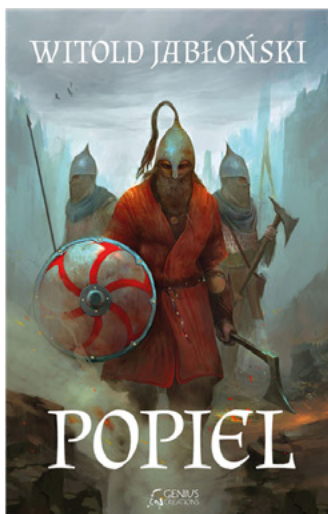
DARY BOGÓW WITOLD JABŁOŃSKI

Posłuchajcie opowieści starego bajorza... Czternastu opowieści o pradawnych czasach, gdy światy bogów i ludzi stanowiły jedność. Kiedy bogowie ciskali pioruny, rusalki tańczyły w księżycowym blasku, a krwiożercze zmary i wilkołaki pustoszyły ludzkie siedliska. Żaden śmiertelnik nie mógł być świadkiem tych zdarzeń. Nieśmiertelni przekazali opowieści o tych dniach najstarszym ludziom, a dziadowie i ojcowie swoim synom i wnukom.

Powtarzane z ust do ust, z pokolenia na pokolenie, przetrwały do dziś.

Wybierzcie się z nami na błogie łąki Wyraju oraz na jałowe pustkowia groźnej Krainy Zmarłych, by poznawać ich odwieczne tajemnice. Otwórzcie serca, odkryjcie własne korzenie, wsłuchajcie się w głosy przodków...

Mity słowiańskie opowiedziane w zupełnie nowy sposób!



POPIEL WITOLD JABŁOŃSKI

Dawno, dawno temu, w czasach, które zagięły już w pomroce dziejów, ziemiami naszych przodków wstrząsnął potężny konflikt pomiędzy potomkami króla Anta. Umierający monarcha przekazał władzę swoim synom Lechowi i Krakowi, dzieląc między nich kraj i nakazując wspólną obronę ojcowizny przed najazdem koczowników ze wschodu. Bracia uszanowali wolę ojca i walczyli ramię w ramię, wspierali się w rządach. Założyli własne rody,

poślubili wybranki swoich serc i doczekali się potomstwa.

Z upływem lat Lechitów skaził pradawny mrok, który od zarania czasów skrywał się w kniejach otaczających Kruszwicę. Niczym rak począł toczyć ród Lecha, a zwłaszcza kniazia Popiela, który oddał się całkowicie czarnoksięskim praktykom i pojął wiedźmę za żonę.

Wybuchła wojna domowa, brat stanął przeciw bratu, mrok przeciw jasności, zło przeciw dobru...

Poznaj opowieść o naszych przodkach z czasów przed nastaniem mrocznych wieków. Opowieści o honorze, miłości i poświęceniu.



TROPICIEL MAŁGORZATA LISIŃSKA

Sodi Yudherthardere, dla przyjaciół i ludzi z problemami wymowy po prostu Sodi, to krasnoludzki Tropiciel ze słabością do kobiet, alkoholu, złota, bijatyk i magii (dosłowną). U boku Yasy (najpotężniejszego żyjącego maga) i Likal (seksownej, potężnej i kompletnie nim niezainteresowanej uczennicy maga) wyrusza w podróż po Krainie, a w drodze przeważnie cierpi na migrenę. Niczym bohaterowie bajek, tylko zupełnie inaczej, ta trójka stawia czoła wyzwaniom

godnym herosów.

Książka dla czytelnika dorosłego lub posiadającego certyfikat znajomości łaciny podwórkowej!

Mistrz Haxerlin i Thuz z miejsca polubili Sodiego. Idealny towarzysz podróży, bajarz, mitoman i drań w ich stylu! – **Jacek Wróbel**, autor serii *Haxerlin*

PIERWSZY TOM SERII BAJKI KRASNOLUDÓW

[Kup książkę](#)